

Diabla rodzina

Dominika Nowak-Adamczyk

Pewnego dnia, wiele, wiele lat temu, rzeka Wisła, do Gdańska od wieków zdążająca, pod Wawelem z niewiadomych powodów wylała. Niewiadomych, albowiem ziemia deszczu dawno nie widziała, a tu wzburzone wody groźbę zniszczenia Krakowa niosły. Przerażony lud krakowski sądził, że to czary jakowe, bowiem wały od dawna usypane przeciw wodzie, a na nic się zdały. Rozgniewana woda bez przeszkód niajkich wdarła się do grodu i złego narobiła niemało. Wiele sił i trudu włożono w szkod naprawę, a gawiedź miejska przy pracy nad wyjaśnieniem zdarzenia się biedziła. W końcu w kramach na Rynku wieść zrodziła się niezwykła: Pewnikiem moc nieczysta ma w tym udział...A nie bez przyczyny tak mówiono, nie bez przyczyny. Prawdą to było, a dlaczego, zaraz się dowiesz:

Kiedys, wieleset lat temu, żył w cnym mieście Kraków kowal Jaśko z córeczką maleńką Hanką. Kochał ją bardzo, za dwoje, bo matka ją przy urodzeniu odumarła. Nacierpiał się ów człek od nieszczęścia wiele, a że żadna inna niewiasta do serca mu więcej nie przypadła, sam kruszynkę swoją chował. Matka jego maleństwem się zajmowała, on zaś pracował ile sił, bo majstrem kowalskim najznamienitszym był w grodzisku. I córce chciał zapewnić dostatek, by innego, prócz braku matki, nie znała. Pracował zawzięcie: koniom kuł podkowyy, osie wozom i karetom, zbroje zdarzało się rycerzom szykował, ozdoby żelazne do zamku wyrabiał, wykuwał i naprawiał wszystko, co zamówionym zostało.

Czas płynął, włos mu zbieleł, sił ubywało, Hanka na dorodną pannę wyrosła. W domowym gospodarstwie, jako że babka już słabiutka i delikatna jak puch łabędzi była, sama zarządzała. Zazwyczaj, gdy ład w izbie sprawiła, strawę uwarzyła i statki pomyła a nie był to dzień targowy, szła nad Wisłę. Patrzyła, jak korabie, pełne zacnych towarów, w świat płyną, łódki maleńkie uwijają się pracowicie między brzegami, królewskie łabędzie chylą głowy ku wodzie, jak blaski słońca rozbiegane na wodzie figlują ze sobą, na ludzi z drugiego brzegu. Wieczorem, w tajemnicy, z syrenami, które specjalnie dla niej wychylały się z wody, patrzyły na swoje odbicia w wodzie. Kochała rzekę całym sercem - mogłaby siedzieć na jej brzegu, siedzieć i siedzieć.

Tu zauważył ją kiedyś młody diablík. Któż to on? Syn jedyny Mefistofela, onego biesa, co z imię Twardowskim o duszę się targował. Gdy człek ów na Księżyc umknął, Mefistofil pracownię jego alchemiczną na Krzemionkach w perzynę obrócił, ziemi górę ze złości usypał, by ślad nawet po niej nie został. A gdy w diablím małżeństwie ojcem miał zostać, tu mieszkanie swej wybrance zgotował, tu się jego diabli syn narodził i chował.

Że młode to było, ciekawe świata, co rusz matce w świat się wymykało, by ruch na ziemi obaczyć. Kiedys aż pod Wawel zawędrowawszy ujrzało Hankę. Niezwyczajne diablích obyczajów, zakochało się w dziewczce, że taka śliczna i jasna była, z modrymi oczami i złotą kosą. Nie przeszkadzał mu jego szpetny przy niej wygląd: ostra i sztywna sierść na czarnej skórze, cienkie koźle nóżki z capimi raciczkami, ogon cienki a długi chwościkiem zakończony, rogi wydatnie już z czoła wyrosłe i szpetne pazury u pomarszczonych paluchów.

Zdało mu się, że nic to, że Hanka pokocha go jak on ją. Męczył się, trudił a sapał wiele myśląc, jak ją zdobyć, aż wymyślił. Miejsce w diablím krzemionkowym wzgórzu dla niej zgotował i czekał na okazję. Ta się właśnie nadarzyła. Diabla matka po duszę ludzką świeżo ciało opuszczającą właśnie się wybrała, diablík okazję postanowił wykorzystać. Z pieczary pod Krzemionkami się wyrwał, mknął brzegiem Wisły aż się kurzyło. Gdy zbliżył się pod Wawel, ukrył szpetną postać w zaroślach i czekał. Jako że młody był, a zmęczył się niemało, sen go zmorzył i nie wiada mu było, kiedy Hanka nad brzeg zaszła.

Ujrzał ją, gdy zamyślona na skarpie siedziała. Jako że nikogo wokół nie zoczył, skoczył diablím susem, ścisnął mocarnie diablími łapami, aż mu niewiastka wartko omdlała i skoczył migiem do rodzinnej

siedziby. Ułożył zemdloną w kącie dla niej przygotowanym i zaczął się cieszyć skarbem niezwykłym. Gdy do przytomności wróciła, zagadywał, przymilał się, znosił skarby matczyne, dobra przeróżne, smakołyki niestworzone, a głaskał okropnymi łapami delikatnie, by krzywdy jakiej nie zrobić, w oczy zaglądał przymilnie, słodkie słówka prawił, prawie jak człowiek... Zatracił się w miłowaniu owym do cna. Gdy diablica wróciła znużona wyprawą i zoczyła gościa niezwykłego, zdumienie jej mowę odjęło. Rozzłościła się, jak na każdą szanującą się czarcią matkę przystało.

- Ty zakało diablego rodu! Ty diabli wyrodku! Ty synu nic nie wart! - ryczała z wściekłością, aż czarny pysk ubieliła jej pienista ślina. - Ty, na złego biesa uczciwie chowany, ślimaczysz się do ludzkiej kukły?! Nie wiesz, skąd pochodzisz! Jak ślimak obślizgły wijesz się i wijesz przy tej spłowiałej, wyleniałej, śliskoskórej bzibziagwie!!

Przerwała, by oddechu nabrać, ale myśl, co za się za chwil kilka wydarzyć się może, jak parsknięcie Belzebuba poderwało ją na równe łapy.

- Coś ty narobił, wyrodny synu?! Zaraz ludzie szukać jej będą! Wścibskie patrzydła wszędzie wetkną! Wodą święconą lać będą okolicę, jakby to śmiguśny dzień nastał! Gdzie spokój nasz? Wiła się jak opętana po czarcim lokum, aż dotarła do legowiska, gdzie chciała wyżalić się do nieobecnego małżonka. Jego nie było, ale nie tylko jego.

- Gdzie moje skarby?! Gdzie dary od ojca twego Mefistofela?! Nie ma! Nie ma!!! Gdzie one? Co? Wyniosłeś dla niej? Na Belzebuba! Po jej trupie! - ten fakt ostatecznie wyprowadził ją z równowagi. Wpadła do Hanczynego kątku, złapała dziewczynę za warkocze i powlokła ze sobą. Ile się przy tym nadiabliła, nakrzyczała, nażaliła, jak każda matka, której dziecko na złą drogę schodzi, szkoda mówić. Zniknęła z dziewczką na długo. Gdzie ją ukryła przed diablím zakochaniem i ludzkimi oczami? W lochu przepastnym, ciemnym i strasznym, pod wawelskim dziedzińcem, tam, gdzie ponoć tajemny czakram się znajduje.

Jaśko zaś, ojciec porwanej, czekał i czekał na powrót córki do domu. Na darmo. Srodze zaniepokojony zebrał się jej szukać. Wiedział, gdzie czas przepędzać lubiła, więc ruszył nad Wisłę. I nic. Hanki nie było. Zauważył na ziemi świeży ślad, ślad dziwnej, pazurzastej stopy. Przeraził się okrutnie i pobiegł do grodu z krzykiem, że mu dziewczkę lichu porwało. Przy grodzkim trakcie usłyszał go Sańko, piekarczyk z królewskiej kuchni, który Hankę srodze, choć skrycie, miłował. Chciał na pomoc ruszyć, lecz jak i gdzie nie wiedział. Po głowie się drapał ze zmartwienia wielkiego, a tu piekarz z czerwonym obliczem, srodze ubielonym mąką, wybiegł przed drzwi. Ujrzawszy chłopaka srodze zamyślnego, pogroził mu z krzykiem, że leń, wałkoni się miast pracować i pieczywo roznosić.

A dziś niezwykle zadanie na głowę chłopaka spadło: za pachółka, którego niemoc zmogła, chleb na Wawel miał nieść. Majstra piekarskiego z przeprosinami za nogi oblał, strój szybko otrzepał, wygładził i kosz wielki, pełen piekarskiego dobra wszelakiego na ramię zarzuciwszy, ruszył żwawo. Czego tam nie niósł?! Bochny wielkie, od gorąca mocno zrumienione i znakiem krzyża świętego na spodzie znaczone, bułki różnokszałtne czarnuszką i serem sypane a podłużne kminkiem i makiem, kołacze słodziuchne, chały w ozdobne warkocze plecione, chlebki małe miodem oblewane jakie król jegomość i małe królewietą srodze lubili. Wszystko przed oka mgnieniem z pieca wyjęte, więc myśli o Hance na później odłożyć się zdało. Szedł żwawo, ale tak pachniało z kosza, że ledwie się powstrzymywał, by czego nie wyjąć ukradkiem i za pazuchę nie schować. Ale nie mógł. Nie godziło się tak postąpić, choćby koniec świata miał być, wszak dla króla wszystko niósł! Gdy wpuszczono go na dziedziniec zamkowy, spieszenie podążył w stronę kuchni. Zdyszany, zmęczony, zdjął z ramion ciężar od mistrza piekarskiego posłany i usiadł przy progu. Patrzył na żwawą krzątanicę, na rondle ogromne i garnuszki niewielki cyną pięknie błyszczące, aż brzuch zawołało donośnie o jadlo. Tak długo prosił kuchty, aż drobny, przepasany białą płachtą wesoły Domarad, kuchcik królewski, dał mu kołacza posypanego serem. Skłoniwszy się tedy umknął szukając miejsca, w którym mógłby się nacieszyć niezwykłym darunkiem. Kołacz rozpływał się w ustach, oczy zaszły niebiańską rozkoszą, a serce z każdym kęsem ścisnął się żal za ubywającym

łakociem. Smakował i smakował każdą cząstkę bacznie rozglądając się wokół, bo rzadko bywał na wawelskim wzgórzu. W rogu dziedzińca, gdzie siedział, zauważył dziwną, złotą roślinę. Zastanawiał się, co to być może, bo nigdy jeszcze takiej nie widział, a to porwana Hanka obciąła pukiel słońcu podobnych włosów i z niego wyrósł piękny, złoty kłos. Sańko patrzył i rozmyślał zapomniawszy o całym świecie, bo taką barwę miały kosy pani jego serca. Pochylił się, schwycił roślinę, by ją wyrwać, ciągnął i ciągnął - i nic! Nie wiedział, że sam nigdy nie dałby rady wyrwać kłosa, gdyż jego korzeń sięgał aż do dna czarnej jamy, w której uwięziono Hanke.

Krzyku narobił ogromnego, że skarb znalazł, więc przybiegli dwaj piekarczycy. - To ci rzecz niezwykła! - medytowali teraz we trzech. - Dawaj! Ciągnąć się godzi żwawo, nim kto skarb nam zabierze! - zawyrokowali nowo przybyli. I ciągnęli, silili się z mozołem wielkim, ale wszystko na nic. - Bez pomocy nie uradzimy! Zawołali kuchcików królewskich, którzy porzuciwszy szorowanie statków, przybiegli z pomocą. Ciągnęli, szarpali, pocili się ogromnie, daremnie. Zawołali przeto kucharzy od pieców gorących, oni pokojowca i błazna, co się właśnie w uczonej rozmowie o niczym zatopili, cztery pokojówki, do których kuchty uśmiechy ślali, ciągnęli razem, ciągnęli i ... nic!!! Dobromił, kucharczyk przemyślny, przywołał dziewczki służebne, co praniem nieopodał się zajmowały, one strażników, strażnicy giermka co konia czyścić skończył, podczaszy sam się dołączył z królewskich piwnic wytoczywszy się mocno miodem pachnący.

Ustawili się razem, gromadnie i już! I raz! I drugi! I kolejny!... Daremnie! Mężczyźni źli, że rady nie dają, co rusz zacierali popłute dłonie, chwyтали kłos, zaciskali pięści, sapali, stękali, zapierali się nogami, czerwienieli z wysiłku, pohukiwali na siebie. Kłos nawet nie drgnął. Następnym do ciągnięcia przywoływali i przywoływali, aż astronom królewski, co z krużganków na wszystko patrzył, pięć dziesiątków ludzi - bez białogłów - naliczył. Szarpali, ciągnęli, mocowali się myśląc gorączkowo: Skarb! Skarb! Co to może być? Znaczny być musi, skoro ciężar taki. - Dalej! Szybciej! - mruzcili, aż nadszedł moment, w którym całe mrowie piekarczyków, pokojówek, kowali mocarnych, giermków, kuchcików, pachółków, podczaszy, strażnicy i kucharze opaśli, posłaniec i dziewczki pokojowe runęła sobie w spletanym kłębowisku ludzkim, wśród mieszających się śmiechów, krzyków, zadartych spódnic, nóg fikających i złorzeczeń. Sańko jedynie pozostał, gdzie stał. Przed sobą ujrzał ziejącą czernią, ogromną dziurę z resztą korzenia, za nim zaś kotłowała się splekana mierzwa pstrokatych szat i ciał wszelakiej wielkości i obfitości, z którego wydostał się zgnieciony, gulgocząc z oburzenia podczaszy, a ruszywszy z wyciągniętymi w stronę chłopaka pięściami, obiecywał mu wszystko co najgorsze.

- Ty ładaco przebrzydłe! Ty młokosie niedowarzony! Tak szpetnie królewską osobę zniewolić! Na upadek w towarzystwie nieobyczajnym narazić! Ja ci pokażę! - i ruszył na niepewnych nogach w stronę pachółka wymachując groźnie. Za nim ruszyli inni, gdy nic na końcu kłosa nie ujrżeli, więc chłopak, niewiele myśląc, zjechał po korzeniu w otchłań niezwykłym światłem rozjaśnioną, by uchronić się przed napaścią rozgniewanej tłuszczy. Ta, gdy sprawca kotłowania umknął, jęła przepychać się nad rośliną, by innych do skarbów nie dopuścić, gdyż jama pełna dobra wszelakiego jej się zdała od poświaty pozłocistej! Na szczęście Sańko poczuł dno pod stopami i puścił korzeń. Stanął na niepewnych nogach, rozejrzał się trwożnie i coś ujrzał? Zaginioną Hanke obsypaną ziemią, za nią złocistą kratę, od której blask szedł niezwykły, a za tą? Dwa straszliwe biesy dymem smrodliwym z nozdrzy buchające!

- Skarby masz?! Skarby znalazłeś?! - dochodziły z góry gorączkowe głosy. Chwycił czym prędzej dziewczynę za rękę, pociągnął w stronę korzenia i zawołał do tłumu zaglądnącego z góry: Diabły znalazłem, nie skarby! Stwory okropne! A ciągnijcie, dobrzy ludkowie, nim nas biesi porwą! Tłum zafalował, ręce wyciągnęły się do korzenia, schwyciły go i jęły gorączkowo ciągnąć. Usta wykrzywiły się z wysiłku, zęby do krwi kalecząc wargi stękały: Moocno! Mocniej!!! Jeszcze! I jeszcze raz!!! I w góóóóó! I raaazem!

I uciekający już byli na górze, a gdy stanęli na ziemi, z jamy buchnął ogień, kłęby obrzydliwego dymu uderzyły w nozdrza gawiedzi, która ujrzawszy Hanke, jej modre oczy i złote włosy, zaniechała gniewu i

myśli o skarbach, bo niejednemu wystarczyłaby za wszystko młódka przed nimi stojąca. Sańko pokornie podziękował wszystkim za pomoc i wskazując na dziewczynę mówił: To skarb prawdziwy ojca starego, co diabli pomiot na uciechę swoją i strapienie nasze porwał - i mocno przejęty poprowadził ukochaną do ojca rozradowanego

A diablik? Usłyszawszy huki, grzmoty i hałas wielki, pobiegł sprawdzić co się dzieje, jak to młodzi. Przybiegł, a tu śladu po Hance, nic, tylko ta tasienka pstra, którą kosę wiązała.

- Zabrali! Wykradli szczęście moje! To przez ciebie, diabla matko! - i z wrzaskiem rzucił się w stronę diablicy. Złość przydała mu tak okropnego wyglądu i siły ogromnej, że matka, zaskoczona ogromnie, usunęła się z bojaźnią na bok. Młody czart pomruczał pod nosem, zakręcił młynka pazurami i szus, wydostał się z jamy żadny zemsty za doznaną zniewagę. Na powierzchni oślepił go blask słońca, więc tarł kudłatymi łapami oczy, aż przejrzał. I cóż dostrzegł? Hankę w objęciach ojca i Sańki, otoczoną mrowiem ludzi: piekarczyków, kuchcików, kucharzy, pokojowców, astronoma, który w liczeniu całkiem się pogubił, dziewczek służebnych ze spódnicami skromnie poprawianymi, giermków, pacholków, kowali i kowalskich pomocników, królewskiego posłańca z pismami za pazuchą, podczaszego, co z emocji zdążył wytrzeźwieć i wszystkich, którzy na skarb ochotę mieli Hanka, zoczywszy diablika, strwożyła się ogromnie.

- On ci mnie porwał! On mnie uprowadził w podziemne czeluście! Ratujcie ludzie dobrzy! Ratujcie niebogą! - i zniosła się szlochem. W tłumie zawrzało. Najodważniejsi wysunęli się do przodu, popatrzyli na siebie, i licząc na wdzięczność ojca a przychyłność dziewczki ruszyli hurmem na diablika. Nim ten poznał ich zamiary, już był pochwycon, omotan szmatami wyniesion do murów zamkowych wysokich. Tu mocarne ramiona wyrzuciły go daleko, i ze świstem powietrza poszybował do Wisły, która z cichym pluśnięciem zamknęła nad nim czeluście wody. Tam akurat ksiądz kanonik na spacer się wybrawszy zoczył co się dzieje, więc przeżegnawszy stwora i modlitwy szeptać zaczął.

Woda poniosła zdobycz daleko, aż pod Sandomierz. Tam, co roku, czarci pomiot budzi się i rzuca na znak diablemu rodowi, żeby czarci przybyli uwolnić go z krępujących wodorostów i kleistego mułu, szarpie się, mocuje, aż ciche wody Wisły burzą się i burzą, co roku coraz bardziej, bo i diablę co roku większe jest i silniejsze. Od tej szarpaniny toń wiślana coraz to mętniejsza i brudniejsza się staje, aż nie do wiary, że to od jednego czarta w głębi rzecznej uwięzionego. A stara diablica? Rzuciła się ratować syna, lecz syreny, co z Hanką w wodnym lustrze razem się przeglądały, rzuciły na nią stare sieci rybackie, moc wodorostów zielonych i zaciągnęły bezbronną w wodzie w głębie jedynie sobie znane, by nikomu już nigdy szkodzić nie mogła. Ale i ona, gdy dochodzi do niej głos zbudzonego syna, szarpie się i miota, by pospieszyć mu na pomoc, lecz coraz bardziej siły ją opuszczają, toń wiślana mniej się wzdyma i burzy niż sandomierska, i rzeka słabiej dlatego w Krakowie wylewa.

A Hanka i Sańko? Mało-wiele czasu minęło, gdy stary Jaśko pobłogosławił ich, by żyli szczęśliwie i zapomnieli o wydarzeniu, które wiele siwych włosów nie tylko jemu przydało. Na nic to się zdało, jako i zamawiania starych zielarek i księdza od świętego Wojciecha, bo diablik i diablica każdego roku się budzą, rzucają i rzucają w wodzie by się uwolnić. Ale to jeszcze nie nastąpiło, sił im nie starcza, wodę jeno straszliwie burzą, przez co Wisła co roku wylewa.

hildahasz@op.pl

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.